

DUKAJ

XAVRAS WYŻRYN
I INNE FIKCJE NARODOWE



JACEK
DUKAJ

XAVRAS
WYŻRYN

I INNE FIKCJE NARODOWE

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© Copyright by Jacek Dukaj
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004

Wydanie drugie, dodruk

Redaktor serii
Anita Kasperek

Korekta
Barbara Górską, Anna Rudnicka, Ewa Kochanowicz

Projekt okładki i wyklejek
Tomasz Bagiński
Michał Dziekan

Redakcja techniczna
Bożena Korbut

Książkę wydrukowano na papierze Creamy 70 g, vol. 2,0
dostarczonym przez Mercator Papier Sp. z o.o.

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2010
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”
Druk i oprawa: Drukarnia Intro-Dajwór

ISBN 978-83-08-04382-0

SPIS TREŚCI

5	XAVRAS WYŻRYN
7	Prusy Wschodnie–Bukowina
44	Bukowina–Moskwa
105	Moskwa–Kraków
127	Kraków
140	Ewangelia wg św. Jewrieja
143	SPRAWA RUDRYKA Z.
163	PRZYJACIEL PRAWDY. DIALOG IDEI
203	GOTYK

XAVRAS WYŻRYN

...zaiste nie w twojej mocy
przebaczac w imieniu tych, ktorzy zdradzono o swiecie

PRUSY WSCHODNIE–BUKOWINA

Z północy nadleciał klucz szturmowych śmigłowców. Witschko uniósł rękę i Amerykanin zamarł w pół kroku. Gapili się w szare niebo przez bezlistne jeszcze gałęzie drzew, w tej części lasu rosnących bardzo gęsto. Wąskie, ciemne maszyny z emblematami reichswery na bokach — czarnymi krzyżami — przemknęły ponad nimi w dźwiękowej chmurze rozedrganego grzmotu. Jeden, dwa, trzy, pięć, siedem. Jak apokaliptyczna szarańcza. Smith żałował, że nie ma na głowie kołpaka, byłoby świetne ujęcie. Gdy zniknęły, spojrzał na zegarek. Szósta szesnaście.

— Często tak? — spytał Ślązaka.

Przemytnik wzruszył ramionami.

— Ruskie ich ostrzeliwują, ale bez przekonania. Od śmierci Stalina nie było na Pomorzu poważnego incydentu. Przecież pan wie. Prewencja. Przekraczają granicę o trzydzieści kilometrów i więcej. Moskwa nawet nie ma pretensji: strzelają do tych, co trzeba.

Rozmawiali po rosyjsku, bo Smith w niemieckim był słaby, a Witschko bał się przeciwpiechotnych min językowych.

Szli lasem już pięć godzin. Granicę i pas zmilitaryzowany opuścili jeszcze przed północą, lecz z uwagi na układ dróg i ukształtowanie terenu nie mogli kierować się bezpośrednio na południe i w efekcie, za radą Ślązaka, maszerowali jakimś przedziwnym równoleżnikowym halsem. Bo tutaj drogi biegły niemal wyłącznie ze wschodu na zachód, Prusy nie istniały dla rosyjskich planistów. Smith miał w komputerze mapę, ale już kilkakrotnie zdążył się przekonać, iż odpowiada ona rzeczywistości w stopniu dalece niezadowalającym. Mimo że — zgodnie z informacją producenta programu — aktualizowana była podług danych z satelitów geodezyjnych zaledwie siedem miesięcy temu. Czyżby wojna powodowała przemieszczanie się autostrad? Witschko śmiał się

szyderczo w odpowiedzi na narzekania Amerykanina. Nic nie jest niezmiennie.

Znajdowaliby się już znacznie dalej, gdyby nie nocna eskapada przemytnika po nowe — to znaczy stare — ubranie dla Smitha. Zmusił Iana do zdjęcia i zniszczenia paramilitarnego stroju, jaki wyszykowała dlań specjalnie na tę okazję główna pruska ekspozytura sieci w Allenstein; miast niego reporter wdział grube, brudne i cuchnące łachy, które Witschko wycygał od znajomego. Nawet niespecjalnie pasowały na Smitha. Dobrze, że butów nie kazał mi wyrzucić, myślał Ian. Bo tempo marszu okazało się wprost mordercze. Plecak ciążył Amerykaninowi kancianym głazem. Szli i szli. Już nawet nie miał siły się bać. Było mu wszystko jedno. Gapił się bezmyślnie na plecy idącego przed nim mężczyzny i podsycał w sobie irracjonalną nienawiść do Ślązaka. On mógłby być moim ojcem, dyszał bezsilnie. Czterdzieści, pięćdziesiąt lat; chudy, kościsty, czarnooki, czarnowłosy, zarośnięty, zawsze z papierosem w ustach, ustach o nierównej i szczerbatej linii żółtych zębów. Wór na plecach, czapka na głowie, szyderstwo na twarzy. Może to zdrajca, może wtyka, może po prostu chciwy morderca, który zarznie mnie podczas snu; cholera go tam wie.

Kwadrans później przesunęło się ponad nimi te same siedem helikopterów; wracały do bazy. Ostatni, siódmy, cokolwiek spóźniony względem reszty, ciągnął za sobą brudny warkocz dymu. Leciał nisko, chybotliwie. Widzieli go ze szczytu wzgórza pomiędzy drzewami. Podniósł się jeszcze raz i drugi, zajęczał rozpaczliwie wirnikami — i spadł w las. Huknęło. Gorący pióropusz gazów i popiołu wyrósł w białoszare niebo. Z północy zawróciły dwie maszyny, pokołowały nad wrakiem, lecz w końcu odleciały: widocznie nie pozostało nic do ratowania. Witschko i Smith schodzili ze wzgórza. Wiatr zamarł i czarny słup śmierci stał pionowo, prosto na ich drodze. Ian nic nie widzącym wzrokiem spoznał na zegarek, jakby ów odruch zwyczajności był w stanie przywrócić mu dawno utracony spokój umysłu. Szósta czterdzieści dwa, trzydziesty marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Mord o zimnym poranku. Niech szlag trafi Polskę.

Wieczorem, przy ognisku, Witschko snuł swe przemytncze opowieści.

— W osiemdziesiątym drugim, w trzecim miesiącu po jego śmierci, tak na początku lutego, zapadł tu gdzieś w okolicy transport wojskowych butów. Ciężarówka cała. Kamasze zaraz się pojawiły na rynku; wóz ponoć do jeziora poszedł. Szum taki sobie, nic specjalnego. Potem to samo z mięsem. A potem — uważasz, jaki przeskok — zwinęli z eszelonu atomówkę. Dasz pan wiarę? Pociągami ją wieźli, na bocznicy stała. Toż dopiero czerwonoarmiejców szlag trafił...! Paru ludzi pod mur, więcej na Sybir... ale bombki niet. Chodziły tu całe bataliony z psami, węszyli jak wściekli, psy i ludzie. Wykarczowali nawet kawał lasu, pojęcia nie mam, po jaką cholerę. Ze trzy niedziele tak to trwało; nie mogłeś spojrzeć w niebo, żeby nie zobaczyć helikopterów — jak muchy nad trupem. Niemce podobno się rzucali, że niby wzmozżona aktywność wojska i tak dalej. Na pewno wiedzieli. Znajomy, co siedzi w leśniczówce pod granicą, no to on sobie łapał tam radio z Prus, bo tak blisko to jednak nie dało rady zgłuszyć, i to radio o wszystkim otwarcie mówiło, więc stąd żeśmy wiedzieli. Już wtedy zaczęli ludzie coś podejrzać, bo nikt nie znał tych gierojów od butów i mięsa, a na trupa była komu pieprzona atomówka? — ani jej użyć, ani spylić — więc poszła gadka, że to nietutejsi i w ogóle nie nasi, i że pewnie polityczna sprawa. No bo jak kamień w wodę — a taka bomba to jednak kawał skurwysynstwa, podobnież dźwigiem ją wyciągali z jakiejś rakiety; dźwigiem, mister Smith, dźwigiem. No więc ja myślę, że teraz z tą Moskwą — to wszystko prawda. Oni już wtedy wiedzieli, już sobie zaplanowali. Jak tylko on zdechł.

Śmierć Stalina to wyznacznik nowej ery, jak narodziny Chrystusa — wystarczy zaimek: „on”, „jego”. Wiadomo, o kogo chodzi.

Już wcześniej to spostrzegł: tu wszyscy mówią jakoś tak krzywo, w bok, po okręgu i paraboli; przestrzeń ich słów wypaczona jest przez wielkie, niewidoczne masy czarnych dziur obyczaju, do których niebezpiecznie się zbliżać, bo mogą wciągnąć, zassać. Witschko na przykład — o czym on opowiadał? o kradzieży bomby? Nie, on mówił o Xavrasie Wyżrynie. W końcu wszystko sprowadza się do niego.

Xavras Wyżryn, Xavras Wyżryn.

— Spotkałeś go kiedyś?

Ślżak strzelił spojrzeniem ponad ogniem, wsadził w płomienie patyk.

— Bo co?

— Nic. Ciekawy jestem.

— Da Bóg, sami go spotkacie, to się dowiecie. Wcześniej czy później.

Smith nic już nie rzekł. Przewrócił się na drugi bok, plecami do przemytnika, i zasunął śpiwór. Przed sobą miał swój roztańczony cień odpłomienny i las, i noc, i niebo bez gwiazd i księżyca, bo ciężko zachmurzone. Aby zasnąć, musiał się uspokoić, ale myśli wymykały mu się spod kontroli. Znajduję się w strefie wojny, dumam. Tu śmierć. Po-
dążam ku śmierci. Xavras Wyzryn, Xavras Wyzryn. Przekleństwo na
niego, przekleństwo na nich!

Wreszcie zasnął nieuspokojony — zmogło go zmęczenie.

Rano, zanim wyruszyli w dalszą drogę, wysłał krótki meldunek: parę słów ręcznie wklepanych. PRZEZ GRANICĘ BEZ PROBLEMÓW. IDZIE-
MY KU WIŚLE. MOŻLIWE OPÓŹNIENIE. DLACZEGO NIE POMYŚLELIŚCIE
O UBRANIU? Szło to wąskim stożkiem do satelity, z niego do kolejnego
i potem bezpośrednio do centrum WCN w Nowym Jorku, więc raczej
nie istniało zagrożenie podsłuchem. Zresztą gdyby nawet — niczego
to nie zmieniało, Smith po prostu nie miał żadnej innej możliwości
komunikacji z siecią.

Około południa Witschko zdecydował, że wyjdą na drogę. Byli
już dosyć daleko od granicy. Ian nic nie powiedział, ale strach ścisnął
mu żołądek. Teraz dopiero się zacznie, pomyślał; przypomniał sobie
Frazera, McHutscha, Varde; przypomniał sobie ich filmy. Ale nic nie
powiedział. Jest strach słowotoku i jest strach milczenia, a ten drugi
nieporównanie głębszy, bo już bezmyślny, zwierzęcy, całkowicie ulega-
jący beznadziei chwili.

Wyszli z lasu na pobocze i z pobocza na szosę, wąską, starą asfal-
tową, z mocno wyblakłą białą linią. Szosa skręcała dość często i widzie-
li jedynie jej stumetrowy odcinek, z obu stron ucięty szarymi ścianami
lasu. Było to miejsce tak anonimowe — żadnego drogowskiego, nawet
drobnych śmieci w rowie, niczego — że aż jakoś symboliczne. Smith
zachłannie rozglądał się dookoła. Nie takie przestrzenie wybierano do
kolorowych panoram „Nieuchwytnego Xavrasa”.

Witschko wskazał kierunek i ruszyli. Już nie jeden za drugim, ale obok siebie, po cywilnemu: Ślăzak z prawej, Amerykanin z lewej. Niebo było bladopopielate i smętnie zaciągało się potarganymi w strzępy chmurami, z których rzadko skapie coś więcej niż chorobliwie anemiczny kapuśniak. Z owej straszliwej nudy obrazu strach wykrzeszał Smithowi okrutną zapowiedź rychłego nieszczęścia, zgodnie z rytmem scenariuszowego przekładańca filmowych sekwencji napięcia i rozprężenia; bo całość Smithowych doświadczeń i pamięci zdarzeń i zachowań tego świata, w odróżnieniu od świata Nowego Jorku, pochodziła z kina i telewizji — a umysł tego przecież nie segreguje. Skoro cisza, to przed burzą. Skoro spokój, to przed bitwą. Witschko próbował podjąć rozmowę, ale Smith milczał.

Przejechał samochód i nawet nie zwolnił. Przemysłnik nie zwrócił uwagi. Potem przejechał facet na rowerze. Facet na rowerze był bardzo stary, bardzo pomarszczony; na nosie tkwiły mu okulary w pękniętych rogowych oprawkach, ze szklami, sądząc po grubości, pancernymi; a dłonie miał — dłonie i palce to on miał takie, jakich Smith w życiu nie widział. Patykowate a gruzłowate, plamiście przebarwione, ptasio szponiaste a zarazem dziecinnie słabe; palce o różnej długości, palce bez paznokci, palce bez stawów, palce o kości przezierającej przez mięso. Zatrzymał się i poprosił Witschkego o papierosa i ogień, bo zauważył, że tamten pali. Przemysłnik poczęstował okularnika. Zakurzyli z rozkoszą; przez dym wymieniali po rosyjsku krótkie, mrukliwe uwagi bez znaczenia, zadowoleni z chwili. Ian patrzył na to z boku, z własnej woli odsunięty poza ich spojrzenia. Patrzył, słuchał. W końcu facet wsiadł na rower i odjechał. Podjęli marsz. Smith, idąc, zbierał się w sobie i zbierał, aż w końcu zapytał Witschkego, chociaż mimo wszystko nie o to, o co chciał. — Co mu się stało w te palce? — Witschko zrobił zdziwioną minę. — Skąd mam wiedzieć? — prychnął, nie wyjmując papierosa z ust.

Godzinę później, po kolejnych dwóch samochodach (również należących do serii zaprojektowanych osobiście przez Stalina, ponurych, kanciastych monumentów szos, co żrą paliwo niczym czołgi) minęły ich: zabytkowy traktor ciągnięty przez starego konia oraz furmanka. Witschko w marszu zgadał się z woźnicą i ten zgodził się podwieźć wędrowców. Wskoczyli od tyłu. Smith z ulgą wyprostował

bolące nogi. Woźnica, młody chłopak o krzywo zamocowanej zuchwie, obejrzał się na głośne westchnienie Iana. — Z daleka? — spytał. — Noo — odmruknął Smith. — Może byście spuścili kawałek tego, co tam targacie — wskazał batem na plecaki. — Lepiej patrz przed siebie, synu — włączył się Witschko — bo ci kobyła zlezie z drogi i w minę wdepnie. — Iiii-tam, ona nauczona. — Przynajmniej tyle, że nie ga da. — He, w Wilię na krok nie puszczamy ich z zagrody! — zaśmiał się krzywoszczęki. Smith nie zrozumiał dowcipu. Spojrzał na Ślązaka, który zapalał już kolejnego papierosa. — No i czemu tak kopcicie bez ustanku? — warknął Ian, irracjonalnie rozeźlony. Witschko wzruszył ramionami. — Bo mam raka — odparł. Furman zachichotał; po chwili przyłączył się do niego sam przemysłnik. Smith odwrócił wzrok.

— Pan skąd? — spytał go po jakimś czasie chłopak z kozła. — Z Prus?

Smith nie mógł tego zrozumieć. Jego rosyjski nie różnił się niczym od rosyjskiego tamtych, ubiór — jeśli to możliwe — był jeszcze bardziej zeszmiacony od Witschkowego, nie istniały też żadne identyfikujące znaki szczególne — a jednak ów wieśniak już po kilku minutach bezbłędnie rozpoznał w nim cudzoziemca. Smith nie mógł tego pojąć. Spojrzał bezradnie na Ślązaka.

— Taa, z Prus, z Ameryki, z Księżyca — zamamrotał ów, w odpowiedzi na tę desperacką prośbę o ratunek.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
na www.wydawnictwoliterackie.pl